

O tym, jak Udo Steimler nazistą został

Wody Sprewy były szare jak świt. Udo gapił się w potyskliwe falowanie. Ledwo zeszedł nocy uprosił ciało o sen, a niedługo potem musiał wstać. Chciałby doczekać kolejnego zmięczenia pod kołdrą, jak dziecko, które boi się nocy. Widocznie jednak dorósł na tyle, żeby bać się dnia. Sięgnął do rozporka i słoneczną strugą znieważył rzekę. Strząsnął ostatnie krople, po czym odwrócił się. Mała kundelka obserwowała go, przekrzywiając łeb z uniesionymi uszami. Podążyła za swoim panem, drapiąc pazurami o metalowy pokład.

– Jak tam, Udo? – Krzyknął chłopak z barki obok.

– Cześć, Daniel, do dupy! – Zmobilizował się, by pomachać pytającemu.

Ceglany mur wzmacniał nabrzeże, przy którym cumowały stare barki zamieszkałe przez ludzi żyjących w taki sposób jak on... „Takich samych jak ja, tylko jak to możliwe? Każdy uważa się tu przecież za cholerną indywidualność” – myślał, obserwując swoje trampki grzęznące w piachu. Wąski pas plaży ograniczony zwartą zabudową rozciągał się od mostu do mostu. Puste okna nieczynnych fabryk i składów spoglądały w stronę rzeki. Wschodzące słońce rzuciło na tę ścianę cień drobnej dziewczyny biegnącej w stronę Udo.

– Znowu myślisz! – W jaskrawożółtym okrzyku Udo wyczuł kwaśne krople.

– Dzięki za cytrynowe powitanie, Greta.

– Mów jak człowiek, nie rozmawiasz ze swoim mózgiem, a ze mną. – Rzuciła mu się na szyję. – No kocham cię przecież.

Wtulił się w orzeźwiająca radość, czuł, jak go łaskocze, wpuszcza mu lustrzane załączki do oczu, budzi dreszcze, z których chciał się otrząsnąć jak duży pies.

– Kocham cię – wyszeptał.

– No widzisz! Jak cudownie! – Nagle wyrwała się z jego objęć i zaczęła tańczyć, a piasek pod jej stopami zmienił się w gładki parkiet. – Świat jest piękny! Kutia, co... no cześć! Cześć! – Zwróciła uwagę na suczkę, która za wszelką cenę chciała się przywitać, skacząc wokół Grety.

– Tylko ty jesteś piękna – burknął pod nosem Udo. – I co taka dziewczyna robi w tym miejscu?

– Czeka, aż ją stąd zabierzesz. – Podbiegła i chwyciła go za rękę.

– Chcę, Greta, dobrze wiesz, że chcę. – Próbował ją objąć jeszcze raz. Była dla niego jak powietrze dla nurka. Wiedział, że bez niej nie wynurzy się nigdy, że gdy zabraknie mu Grety, pójdzie na dno, może nawet dosłownie. Przypomnił sobie obojętność Sprewy, bezmyślnie przed chwilą naruszoną.

– Muszę lecieć, pa! – Przytrzymała jego ręce i wspięła się na palce, dając mu całusa.

– Greta – próbował ją zatrzymać.

– Do wieczora, jutro sobota, weekend, będziemy dwa dni razem!

– Wiem, do wieczora, pa, pa! – Uosobienie szczęścia odleciało, a Udo uległ nieodpartej i jak dotąd mylnej obawie, że widzą się po raz ostatni, bo w setkach codziennych zdarzeń pojawi się takie, które odbierze mu Gretę na zawsze.

Plaża znów stała się grzęzawiskiem. Udo brnął wytrwale, wspominając lekkość ruchów ukochanej.

– Hej, Udo!

Thomas z Georgiem stali przy burcie swojej barki, szczerząc się do niego.

– Hej – odpowiedział niechętnie, a Kutia warknęła krótko.

– Przynieś nam skalp kapitalisty, Udo!

Odmachnął ręką.

– Tak, Udo, nie pokazuj się bez skalpu.

Zwrócił ku nim twarz i zmusił się do uśmiechu.

– Podłóż im bombę, Udo!

– Jasne – odpowiedział, starając się jak najszybciej oddalić. Szli za nim wzdłuż burty.

– Pamiętaj, Udo, że dzień bez podłożonej bomby to jak mecz bez strzelonej bramki!

Znowu odmachnął.

– Dokonaj sabotażu, Udo.

Nie zareagował.

– Nie wiesz jak? Po prostu staraj się pracować najlepiej, jak potrafisz – ryknęli śmiechem.

Odprawiony tym błogosławieństwem Udo dotarł do przystanku. Myślał o pierwszym dniu swojego nowego życia, które powinno się dziś rozpoczynać. Niestety źle przespana noc powodowała, że stare życie wygrywało z nowym, domagając się zachowania ciągłości. „Jeśli coś się nie zmieni – rozważał dalej – każdy dzień będzie przyciskać mnie coraz mocniej; jak skrzynia, do której codziennie wpada kamień”. Nadjechał zatłoczony autobus, do którego Udo wszedł jako ostatni. „Tak, jestem przyskrzyniony” – podsumował i w tej samej chwili poczuł, że drzwi schwyły jego plecak. Zaczął odliczać przystanki. Obok własnego bijącego serca wyczuwał pośpieszne stukanie serca Kutii ukrytej za pachą.

Autobus wjechał na plac. Letnie słońce zaczynało prażyć i oślepić, odbijając się w każdej z miejskich płaszczyzn i gładzi. Udo szybko zbiegł schodami pod ziemię. Panował tu stały zaduch, gnilny i metaliczno-elektryczny. Udo sprytnie jak mysz przemycił pod brzuchem miasta, aż do ostatniej stacji metra.

Wyszedł na powierzchnię w cichszym miejscu. Tu już pachniały zioła i, przy sprzyjającym wietrze, las. Udo odetchnął ze dwa razy głębiej i wszedł do kolejnego autobusu. Już po dwóch przystankach mógł zobaczyć halę, a wysiadł dopiero na czwartym, najbliższym wejścia do niej. Mieściła centrum logistyczne, magazyn wysokiego składowania, mniejsza o nazwę, gigant z białej blachy mógł pomieścić wioskę.

Ogrodzenie z siatki otaczające budynek prezentowało się przy nim znikomo, choć miało wysokość dwojga dorosłych ludzi i zwieńczył je druciany warkocz, w który wpleciono żyłki. Udo wszedł na portiernię i przyłożył kartę do czytnika przed bramką. Wymienił uśmiech z Szandorem. Ochroniarz wyszedł za nim na zewnątrz i otworzył boks, w którym trzymano psy pilnujące terenu. Kutia radośnie machała ogonem na widok mężczyzny w mundurze. „Kutia” to po węgiersku „pies”, Szandor był jej ojcem chrzestnym. Udo ruszył wzdłuż nasłonecznionej ściany. Biała płaszczyzna pożerała każdy skrawek cienia. W miarę jak szedł, tracił własny, lecz miał uczucie, że sam staje się cieniem, czernieje jak błona fotograficzna wyjęta z kasety. Pchnął skrzydło drzwi i wszedł do środka. Szatnia znajdowała się w narożniku, ledwo widoczną za regałami.

Wrócił ubrany w szary kombinezon i żółty kask. Wyglądał jak ludzik z klocków Lego, którym za chwilę zacznie bawić się olbrzymie dziecko. Udo nie ufał swojej przemianie, nie chciał należeć do świata barek, ale i ten, poukładany i wydajny, budził w nim chęć ucieczki. Uczucie osiągnęło szczyt, kiedy zgłaszał się do kierownika zmiany, zeznało, gdy siadł za kierownicą wózka.

Jadąc między niekończącymi się, wysokimi jak dwupiętrowe domy regałami, spoglądał na podłaskę z wydrukiem, który podpowiadał, co i skąd zdjąć, co i gdzie wrzucić. Kręciły się inne wózki i krzżeli się ludzie, krzyżowały się setki dróg, w miarę jak mijają godziny, palety z towarami potrzebnymi marketom w mieście zdawały się same unosić w powietrzu i krążyć wszędzie jak na obrazie surrealisty. Tymczasem każda z nich ważyła dobre kilkadziesiąt kilo. Udo coraz mocniej zaciskał zęby, sięgając widłami wózka trzy, pięć, siedem metrów nad głowę, balansując paletą na rozciągniętym do końca wysięgniku. Jeszcze gorzej szło w drugą stronę: paleta wędrowała w górę, Udo zadzierał głowę, pokonując klucie w karku, starał się zobaczyć, gdzie dokładnie stawia ładunek, czy o nic nie zawadza. Jedną mógł stracić, za drugą potarliby mu w całości z pensji, trzecia oznaczała wylanie z pracy. Kask na głowie i daszek z siatki nad kabiną wózka były niczym w porównaniu z masą kołyszącą się obojętnie pod stropem hali. Udo próbował przełknąć ślinę. W najgorszych chwilach, kiedy starał się okiełznać wyobraźnię, nękała go wizja zonglera ekwilibrysty trzymającego na czole pręt, na którego drugim końcu piętrzy się piramida kryształowych kieliszków na tacy.

– Udo, do kurwy nędzy! – Człowiek stojący od dłuższej chwili przy jego wózku stracił w końcu cierpliwość. – Nie rozumiem, jak możesz jednocześnie spać i robić tę robotę. Stary woła cię do siebie.

Udo mrugnął kilka razy, czując dopiero teraz pot spływający wokół oczu. Gorący słony płyn drażnił mu spojówki.

– Już. – Głos ginał w hałasie hali, więc Udo skinął jeszcze głową. – Już idę.

Zajechał wózkiem na miejsce i odkleił się od siedzenia. Plecy miał mokre, jakby obsikała je Kutia. Z trudem zrobił kilka kroków na odwykłych od chodzenia nogach. Mięśnie mu drżały.

Stephen rządził w kantorku przy szatni i postoju dla wózków. Niektórzy go lubili, inni stawali na głowie, żeby nie trafić na jego zmianę, bo był twardy i ludzie czuli przed nim respekt. Udo nie miał nic przeciwko temu, żeby czuć przed kimś respekt. Zapukał.

– Tak – huknął głos za drzwiami.

Krępy szpakowaty mężczyzna w błękitnej koszuli z krótkimi rękawami i pod krawatem opierał się łokciami o biurko. Udo pozdrowił go, zdejmując kask. Plama na plecach chłodziła przyjemnie.

– Chcesz kawy?

Udo skinął głową. Kierownik wskazał na stojący w kącie automat. Dopiero teraz Udo pomyślał, jaki może być powód rozmowy. Nie miał siły bać się, że wyleci. Nacisnął guzik i spojrzął na dwie strużki – kawową i mleczną – płynące do kubka. Wyobraził sobie katar ciekący z obydwu dziurek w nosie naraz i wyszczerzył zęby. Trzeba się pozbierać, zanim kawa spłynie. Tym bardziej zachciało mu się śmiać.

– Dobrze się czujesz?

– Tak. – Udo usiadł z kubkiem na krześle przed biurkiem. Cud. Minę miał niemal obojętną.

Szef spojrzął badawczo.

– Strasznie dziś gorąco. – Stwierdzenie Udo mogło być w najgorszym razie nawet próbą usprawiedliwienia.

– Nie tak gorąco jak w Hong Kongu i wilgotność powietrza bez porównania. – Stephen sięgnął do szuflady biurka. Wyjął zdjęcie i posunął je w kierunku Udo. Ten przechylił głowę z zaciekawieniem, po czym wziął fotografię i przyjrzał się jej uważnie.

Tętem były różnobarwne kontenery. Wielkie napisy, przeważnie ułożone z chińskich czy japońskich znaków. Powyżej kilka bloków mieszkalnych, nieeuropejsko wąskich i wysokich, z mnóstwem okienek urozmaiconych sznurkami z praniem. Z przodu maszyna o proporcjach zabawki: baloniaste opony, takie samo podwozie, mikroskopijna kabina operatora i ukośny wysięgnik zakończony prostokątną ramą, na oko wielkości połowy tenisowego kortu. Poniżej, pod ramą, stał człowiek, niesięgający głową do szczytu opon. Udo zmarszczył brwi, skupiając wzrok na twarzy.

– Poznajesz? – spytał Stephen.

– Poznaję. – Nie poznał, ale wszyscy wiedzieli, że stary kiedyś pracował w Azji.

– A jak ci się sprzęt podoba?

– No, to musi być niezłe uczucie znaleźć się w czymś takim.

– Dobrze się składa, bo mam propozycję dla ciebie.

– Dla mnie... To znaczy jak?

– Brat jest kierownikiem na terminalu kontenerowym. Jeden człowiek wczoraj odseął, dziś drugi miał wypadek samochodowy, a trafił się pilny przeładunek. Możesz dorobić w weekend. Podwójna stawka.

– Tak, ja... ale obiecałem dziewczynie. I nigdy na czymś takim nie pracowałem. Dlaczego ja?

– Zrobisz, jak zechcesz, ale gdybyś tam się sprawdził... Nieważne, chętni zawsze się znajdują.

– Mogę do niej zadzwonić... to znaczy okej. – Sam Udo nie czuł we własnym głosie ochoczej zgody.

– Tylko szybko, tutaj też musisz się obrobić.

Udo pobiegł do szafki po komórkę, którą regulaminowo wyłączał, zanim usiadł na wózek, i wybrał numer. Po kilku sygnałach odezwała się poczta.

– Greta... – Nie wiedział, jak zacząć gadać do automatu. Cholera. Greta nie mogła odebrać, bo od piątku zaczynał się szat. Dostać wolny weekend i to latem było dla kelnerki sprawą graniczącą z cudem. Planowali to od tygodni.

– Greta, przepraszam cię, ale... – Udo z góry wiedział, że żadne rozsądne mowy o przyszłości i o pracy na terminalu nie zmniejszą jej rozczarowania. Już ją widział kiwającą opuszczoną głową i mamroczącą: „Tak, tak, dobrze zrobiłeś”, a jednocześnie niepokieszoną. Zobaczył też siebie – wściekłego na cały świat, chociaż decyzja była słuszna.

– Greta, wybacz, że w taki sposób, ale nie mogłem przewidzieć... – W tej chwili sygnał w słuchawce pokazał, że czas na nagranie się skończył.

Udo ścisnął komórkę jak szczura, którego trzeba zadusić gołymi rękami. Wybrał numer jeszcze raz, wiedział, że teraz jego głos zabrzmi zimno i twardo, chciał przerwać połączenie i pisać esemesa, ale zrozumiał, że w piśmie wyjdzie tak samo źle. Podniósł aparat do ust i powiedział:

– Greta, strasznie mi przykro, ale dostałem propozycję pracy za dwa razy więcej pieniędzy, tylko muszę zacząć w ten weekend. Nie będę miał drugiej szansy. Tak mi głupio, wybacz, proszę. W poniedziałek... – Nie wiedział, co w poniedziałek, zagryzł wargi i przerwał połączenie.

Łomot blaszanych drzwi szafki jeszcze brzmiał, kiedy Udo, tłukąc w beton obcasami, szedł w stronę wózka. Myślał o komórce, sadowiąc się za kierownicą. A może to tylko fucha, szef go podpuścił i z pracy na terminalu nic nie będzie? I z weekendu z Gretą. Siedział jak na szpilkach, nie wiadomo, jak doczekał końca zmiany.

Stephen ciągnął go do samochodu.

– Kutia? Jaka Kutia, Udo?!

– Pies, psa muszę zabrać.

– Nie wracasz do siebie, jedziemy na drugi koniec miasta, śpimy i zasuwamy na zmianę. Upředź strażników, niech ci go nakarmią, zabierzesz w poniedziałek.

Wóz szefa stał w bramie, poganiając mężczyzn warkotem silnika, a w oświetlonym już oknie było widać, jak Udo tłumaczy coś gorączkowo Szandorowi. Ten drapie się w głowę, aż w końcu klepie kolegę w plecy i wymieniają serdeczny uścisk dłoni.

Całą drogę Udo męczył komórkę, sprawdzał, czy nie przyszedł esemes, odsłuchiwał pocztę. Próbował dzwonić, bez powodzenia. Obraziła się? Stanęli na światłach. Udo wyjrzał przez okno. Ten neon! Wiedział już, co zrobi w powrotnej drodze. Pilnie obserwował otoczenie, żeby zapamiętać miejsce.

Gościnność brata Stephena przytłaczała, krępowało go zadomowienie braci. Wpadł, nie wiadomo skąd, w czyjeś życie rodzinne.

- Chcesz piwo, Udo?
- Nie, dziękuję, chyba się położę.
- Hajke ci powiedziała, co i jak?
- Tak, tak, wiem wszystko. Nno... to dobranoc.
- Dobra.

Skierował się w stronę ciemnej sieni, gdzie przydzielono mu pokój.

– Hej, Udo!

– Tak?

– Jutro będzie dobrze, trzymaj się.

– Tak, wiem. – Zniknął w mroku z myślą, czy teraz zaczną rozmawiać o nim. Było mu wszystko jedno, po chwili leżał, cały nakryty kołdrą.

„Greto, kocham Cię tak mocno, mocno i brakuje mi Ciebie. Bardzo się martwię, bo wiem, co czujesz. Ja też czuję się okropnie, ale oddam Ci sto weekendów za ten jeden, obiecuję, z całego serca. Daj, proszę, znać, że tam jesteś. Kocham Cię, moja jedyna, dobranoc”.

Komórka piknęła. Wystane.

Gęsty mrok, z drugiej części domu słychać jeszcze niewyraźne głosy rozmawiających. Powieki Udo opadły, dając znak komórkom ciała, że teraz mają czas dla siebie, właściciel chwilowo nie będzie ich używał. Rozświetla się ekranik telefonu, odbłask powoduje, że z ciemności wydobywa się zarys twarzy śpiącego.

„Powodzenia, Udo. Dobranoc”.

Poranek i jazda na terminal wydają się Udo częścią snu. Budzi się, gdy lekko dociska pedał i czuje serce podchodzące do gardła. Bieżnik opony zaczyna się przesuwac. Na rozgrzewkę dostał dwudziestostopowy kontener, drgania kotłyszczącej się od ciężaru maszyny szybko mu się udzielają. Brat Stephena coś tłumaczy, Udo stara się jednocześnie zrozumieć, zapamiętać i połączyć z czynnościami w kabinie. Żrenica słońca pali spojrzeniem przez przyciemnioną górną część szyby. Teraz Udo widzi tylko krawędź kontenera, na którym stawia swój. Jest! Może już iść do domu, wie, że zapracował, zasłużył, spał się dobrze. Mija połowa pierwszej z dwunastu godzin pracy.

Teraz zaczepia kontener umieszczony z tyłu TIR-a i ostrożnie go unosi. Przez ułamek sekundy widzi, jak odciążone amortyzatory prostują się, rośnie przestrzeń między platformą a kołami naczepy. Kierunkowskaz, wsteczny i lekki skręt kierownicą. Alarm cofania wydaje przerywane trąbiące dźwięki. Podobny odgłos dobiega z różnych miejsc terminala, tam gdzie znajdują się inne podnośniki. Stado mastodontów bawi się w chowanego między skałami, nawołując w swoim języku. Za wcześniej skrzyta kierownica powoduje, że zabierany kontener ociera o drugi, pozostający na naczepie. Szturchnięcie kołyszca całym TIR-em, Udo napotyka wzrok kierowcy obserwującego sytuację w lusterku bocznym. Usta tamtego poruszają się wymownie. Jedna ze strużek potu spływa z okolic

kolana na kostkę. Udo mruży oczy, w kabinie nie ma powietrza, chociaż okna są otwarte na przestrzał. Blasznany dach działa jak grzejnik.

Udo zapomina o całym świecie, bawi się jak czterolatek w ustawianie klocków. Rude, granatowe, popielate, brunatne. Opisane drobnymi literkami albo przeciwnie, z widocznym z daleka znakiem. Jeden obok drugiego, jeden na drugim. W górę, raz, dwa, trzy. Z wagonu na plac. Z placu na TIR-a. Z TIR-a na wagon. Budujemy i rozwalamy. Znowu budujemy. I z powrotem.

– Zapalisz? – Ławka pod barakiem stoi w wąskim pasie cienia, stopy wystają na słońce, pieką się.

– Nie, nie palę. – Udo chwyta butelkę i próbuje nie wypić całej wody jednym ciągiem.

– Nowy? – retorycznie pytają podczas pierwszej przerwy.

– Tak.

– Za Ditmara? Znajomy szefa?

Udo milczy.

– No to Ditmar już nie wróci – mówi jeden z nich tonem, w którym nie słychać nic szczególnego.

Udo wycofuje się do kibla pachnącego chemikaliami i uryną. Ma ochotę przytulić się do chłodnych pokrytych rosą kafelków.

„*Jak tam mój bohater?*”

„*Dziękuję, w porządku :-)*”

Udo chce dodać: „A jak u Ciebie”, ale nie może się zdecydować. Przecież oboje wiedzą jak. Waha się. „A u Ciebie?” – dopisuje i wysyła.

„OK. Dziękuję”.

Teraz słońce piecze mniej, ale świeci pod ostrym kątem. Każda z poprzednich godzin tkwi w organizmie. Udo kręci gałką na kierownicy, obserwując kontener na wysięgniku i jednocześnie przestrzeń za podnośnikiem w lusterku. Pojawia się tam nagle opona i niebieska pokrywa silnika innego podnośnika. Udo wbija w podłogę pedał hamulca, a jego maszyna, zatrzymana w połowie skrętu, przysiadła na lewym przednim kole pociągnięta bryłą kontenera zawieszoną na wysięgniku jak olbrzymie wahadło. Prawe przednie koło odrywa się od ziemi... po nim tylne. Udo widzi, jak cały plac ze słupkami i ścianami kontenerów przechyla się w prawo, nieruchomieje na moment... i ostatecznie wraca na miejsce.

– Tuu... tuu... tuu... – trąbią na siebie dwa mastodonty na wstecznych biegach. W miarę jak słońce zbliża się do horyzontu, te odgłosy milkną, rozjeżdżają się ciągniki siodłowe z naczepami z wyjątkiem kilku, załadowanych w ostatniej kolejności, którym nie optaca się już ruszać w drogę przed nocą. Mała lokomotywa ciągnie gdzieś szereg pustych platform. Obok, na innych torach, czekają takie same, ale jeszcze załadowane. Udo podnosi ostatnią w tym dniu dwudziestkę. Czuje, jak ciężar kontenera przyciska koła przedniej osi, balony opon uginają się na dziesięć, dwadzieścia, dwadzieścia pięć centymetrów, a jednocześnie tylna oś, zwykle przygnięciona silnikiem wypalającym wiadro ropy na każde pół godziny pracy, unosi się do góry.

– Udo, Udo! – Brat Stephena macha do niego z daleka, pędząc przez plac.

Udo powoli opuszcza kontener na wagon i wycofuje swój podnośnik. Patrzy, jak równolegle do wagonu, niemal ocierając się o niego kołami, ustawia się inna maszyna, przystosowana do podnoszenia kontenerów bokiem. Wraz z ruchem jej wysięgnika odchyła się po drugiej stronie balast, dzięki któremu pojazd pozostaje w równowadze, do chwili, kiedy kontener znajdzie się pośrodku podwozia. I kończy się dzień.

Od milczących silników bije jeszcze gorąco. Udo siedzi na ławce przed kontenerem i patrzy na rozchodzących się ludzi. Zazdrości im, ale cieszy się, że nie wsiądzie do samochodu szefa na ich oczach. Stephen i jego brat mają jeszcze jakąś papierkową robotę, wracają razem po zmierzchu. Udo patrzy na światła aut z naprzeciwka. Nie ma esemesów od Grety, włącza się poczta głosowa.

Przed oczami przesuwa się ściana z karbowanej blachy, bez końca, otacza go. Fałują kolory. Rytm tych zmian podkreślają przerywane dźwięki klaksonów. Kręcą się koła na monstualnych oponach. Udo podnosi kontener, ale widzi, że naczepa unosi się razem z nim. Po chwili spostrzega, że w górę idzie też ciągnik, obraca się kabiną w jego stronę, kierowca coś krzyczy, próbuje grozić pięścią, ale musi oburącz trzymać kierownicę. Udo nie wie, dlaczego nie stawia TIR-a na ziemi, a unosi go coraz wyżej, patrzy teraz na podwozie pojazdu, zbliża się do regału, na którym stoją już inne TIR-y, scanie, many, mercedesy, renault, volvo, wszystkie marki, jakie można sobie wyobrazić. Miejsce jest dopiero na samej górze, pod chmurami. Udo wytęża wzrok, a sunący niepowstrzymanie w górę wysięgnik trafia na strefę porywistego wiatru, który zaczyna kołysać TIR-em. Energię wychyleń przejmuje rozciągnięty wysięgnik, więc na dole jest stabilnie i spokojnie. Udo obserwuje to, co dzieje się na górze jak niemy film. W pewnej chwili otwierają się drzwi z tyłu kontenera i wysuwa się żółty wózek widłowy. Maszyna leci w stronę Udo, otwiera się też kabina i na tle nieba widać wypadającego człowieka. Kiedy w sekundę po człowieku wypada pies, Udo ma pewność, że to Greta i Kutia. W kabinie rozlega się brzęczyk, jakiś alarm, Udo opuszcza wzrok na deskę rozdzielczą. To zegar. Jest czwarta trzydzieści. Udo nieprzytomnie lustruje obcy pokój.

Za dwie i pół godziny siada za kierownicą, przymyka oczy przed słońcem i podnosi pierwszy kontener. Dzień jest bliźniaczą kopią poprzedniego, tylko Udo częściej chodzi do toalety. Ale telefon Grety milczy.

Więc Udo też milczy, zwłaszcza na przerwie.

– Udo?

– Tak? – Spogląda na Stephena.

– Jutro będziesz musiał pojechać ze mną do pracy, załatwiłem ci zastępstwo, niestety nie od samego rana. Andreas zamieni się z tobą w grafiku, on wyjechał na weekend do rodziny, do dziesiątej musisz wytrzymać.

– Dzięki, Stephen, jest OK – powiedział Udo, a kwadrans później nagrał się czwarty raz na pocztę głosową Grety.

„Do jutra do dziesiątej” – mówi sobie Udo, z całej siły starając się myśleć tylko o tym, co dzieje się na placu. Jednak komórka w kieszeni parzy go przez materiał. „To już się

zdarzało – próbuje się uspokoić – może wysiadła jej bateria albo nie ma pieniędzy na koncie”.

Nocą stały się dwie rzeczy, których Udo się nie spodziewał. Po pierwsze, zasnął od razu, a po drugie, nie miał żadnych snów. Rano zebrał swoje rzeczy, rozliczył się z bratem Stephenem, a z nim samym wsiadł do auta. W drodze Stephen zauważył, że jego pasażer rozgląda się na wszystkie strony.

- Szukasz czegoś?
- No, będziemy się mogli na chwilę zatrzymać?
- Wiesz gdzie?
- Chyba kawałek dalej.
- Udo, może dokładniej, bo nie mamy...
- Tutaj.

Stephen kręci głową z dezaprobatą, po czym odprowadza wzrokiem Udo. Ledwo ten znika za drzwiami, zaczyna spoglądać na zegarek.

- Miało być na chwilę – rzuca, kiedy zdyszany Udo sadowi się z powrotem w aucie.
- Dzięki, przepraszam, starałem się – mamrocze Udo.
- Ciekawie zaczynasz przepuszczać tę zarobioną forszę – dogaduje Stephen, patrząc z drwiącym uśmiechem na zakupy Udo. – A myślałem, że w tym mieście całą dobę można kupić tylko sznapsa i żarcie – uzupełnia własny komentarz.

Z poranku w pracy Udo zapamiętał tylko jedno. Regał dzwoniący po uderzeniu wózkami, który zrobił się za mały i za lekki, na ruchy kierownicę i przyśpieszenie reagował zbyt gwałtownie. Kutia na widok pana oszalała z radości, jeszcze idąc do metra, musiał opędać się od lizania po twarzy. Kiedy zobaczył barki, wydłużył krok i poczuł mocniejsze bicie serca. Stalowe schody zadudniły, kiedy zbiegał z mostu na plażę.

- Cześć, Udo – usłyszał czyjś głos z cienia obok filaru.
- Cześć. – Wytężył wzrok. – A, to ty Daniel.
- Słyszałeś jaki numer? – Sąsiad mimo podniecenia zatrzymał na chwilę zdumiony wzrok na plecaku Udo. – Thomas z Georgiem złapali w sobotę wieczorem skinheada.

Udo spojrzał półprzymkniętymi na rozmówcę.

- Skuli mu mordę, związali go i trzymają na swojej barce.
- Hotel dla masochistów to dla nich wymarzone zajęcie.
- Nie, Udo, wymyślili coś lepszego, za dwa euro każdy może przyłożyć ich skinheadowi. Gość wygląda, jakby wpadł pod pociąg, widziałem! Za oglądanie nic nie chcę, zajrzysz?
- Nie widziałeś Grety? – Myśli Udo biegną innym torem.
- Jest z nimi.

Udo zatrzymał się tak nagle, że Daniel zrobił jeszcze dwa kroki rozpędem. Byli na miejscu.

- No to zajrzę. – Udo zdjął plecak i wyswobodził spod kurtki Kutię. – Pilnuj! – Wskazał psu zostawione rzeczy.

– Dobrej zabawy – rzucił Daniel na pożegnanie, podczas gdy Udo wchodził po chwiejnej kładce na barkę. Do wnętrza prowadził właz w pokładzie. Schodząc po drabinie, czuł się jak spadochroniarz lądujący na tyłach frontu. Znalazł się w długim korytarzu bez okien. Na końcu, zza drzwi prowadzących do drugiego pomieszczenia, sączyło się dzienne światło. Przeszedł korytarz niemal po omacku i gdy zbliżał się do końca, obok siebie usłyszał jęk. Podszedł do drzwi i otworzył je na całą szerokość.

Ogarnął go jednym spojrzeniem. Twarz zakrwawiona i zmieniona opuchlizną na ustach i oczach. Jedno z nich niewidoczne, sine i monstrialnie opuchnięte powieki. Krew sącząca się z zadrapań na tyłej głowie, z rozciętej wargi i z naderwanego ucha. Koszulka bez rękawów, z nadrukiem imitującym banderę hitlerowskiej Kriegsmarine rozdarta do połowy. Na klatce piersiowej widać dużą fioletowo-żółtą plamę, inne, podłużne jak od uderzenia kijem, na ramionach. Ręce rozkrzyżowane i przywiązane liną do rury biegnącej wzdłuż burty. Jeden z palców opuchnięty, siny i ustawiony pod nienaturalnym kątem. Na wojskowych spodniach, na wysokości krocza, widniała duża plama wilgoci. Związany ponownie zajęczał.

Udo odwrócił głowę, Thomas z Georgiem już stali w drzwiach.

– Jakie wrażenia, Udo?

– Gdzie jest Greta?

Jeden z nich odsunął się bez słowa i Udo dostrzegł nie Gretę, ale od razu samo jej spojrzenie. Nigdy nie miała takiego, Udo nie potrafił określić, co się w nim kryło, przejmowało groźną. Rozpoznała go, ale jednocześnie wyczuł od niej odrazę, złość, coś tak odpychającego, jakby wyrzucił jej niewybaczalną, dyskwalifikującą go na zawsze krzywdę. Cofnął się przed tym spojrzeniem, bo przecież jak to? To nie on, ale ona jest tutaj z nimi, o krok od zmaltretowanego człowieka, w sytuacji, w której ta Greta, którą znał, nie mogłaby nigdy być. A tymczasem to ona patrzy na niego tak, jakby okazał się bestią w skórze Udo.

Cofnął się o krok, bardzo spokojnie sięgnął do kieszeni, po czym wyciągnął z niej dłoń. Z metalicznym trzaskiem rozłożył nóż motylkowy i cofnął się o kolejny krok. Nie spuszczał Thomasa i Georga z oczu.

– Wystarczy – pokonał suchość w gardle – rozumiecie, że wystarczy tego?

Sięgnął na oślep za siebie i mimowolnie wzdrygnął się, dotykając chłodnego ciała pokrytego czymś lepkiem. Kolejny jęk, dobywający się gdzieś z trzewi, zabrzmiał niepodobnie do ludzkiego głosu. Udo, upewniwszy się, że Thomas i Georg nadal stoją w drzwiach, odwrócił na chwilę wzrok i odciął liną żąbkowanym ostrzem. Ręka opadła bezwładnie, skin osunął się natychmiast, zawisając całym ciężarem na jednej ręce. Kolejny jęk zabrzmiał skamlącą skargą. Udo znów patrzył na dwójkę stojącą w drzwiach. Między nimi pojawiła się Greta.

Udo przeciął drugi sznur i niezręcznie podtrzymywał przewyższającego go wzrostem skina. Z trudem złożył i schował nóż, było mu już wszystko jedno. Ciężkimi, popłątanymi krokami skierowali się ku wyjściu. Tamten uwiesił się na nim, podstawiając mu co chwilę nogi. Udo czuł, że czerwienieje na twarzy, a pot spływa z niego cienkimi wężykami.

Tym bardziej czuł chłód wiejący od trójki, która w milczeniu obserwowała jego zmagania. Pot zlepił mu włosy. Tamten bełkotał chrapliwie, mazał ramię Udo krwią z pokaleczonej twarzy. Dotarli do barierki przy wąskich stromych schodkach, udało mu się schwytać poręcz, ale stracił przy tym równowagę i obydwaj z łoskotem zwalili się obok pierwszego stopnia. Udo napotkał spojrzenie Greta.

– Greta... – nie miał pojęcia, co chce powiedzieć.

– Nie wiedziałam, że jesteś pieprzonym skinheadem, Udo – strzeliła zimno i kręcąc biodrami, zaczęła wchodzić na kolejne stopnie. Twarz Thomasa wyrażała lubieżną satysfakcję, Georg robił małe miny. Udo wiedział, że bez względu na wszystko nie powinien zostawić tutaj tego człowieka i tym bardziej nie może pozwolić Grecie odejść. Wstąpiły w niego jakieś niepojęte siły, te dokładnie, których deficyt odczuwał na co dzień, próbując wydobyć z siebie choć trochę entuzjazmu. Ale teraz Udo uchwycił wątek tej prawdy o sobie, której prawie nie znał, domyślał się jej istnienia gdzieś między wierszami łajania przełożonych, nagan nauczycieli, wiecznego gderania matki, raczących go dobrymi radami przyjaciół. Prawdy, będącej odwrotnością opinii, którą miał od lat, u wszystkich, w tym u siebie samego także.

– Chcesz tu zdechnąć?! – ryknął do ucha skinheada.

– Neeaaa – zajęczał tamten w malignie.

– To rusz dupę!!! – Udo holował go w górę, czując, jak żyły wyłażą mu na czoło. Nie zważając na jęki potłuczonego, przeciągnął go przez właz i ruszył po pokładzie barki. Zataczali się dziko, jak skłócone bliźnięta syjamskie, każde próbujące iść w swoją stronę. Wojskowe buty skina tupały nieregularnie, a Udem rzucało na boki pod nagle rosnącym, bezładnym ciężarem.

– Greta!!! – wrzasnął ile sił w płucach.

– Eaaa – zawtórował ratowany, być może urażony falą dźwięku, cisnącą na bębrenki uszkodzone biciem otwartą dłoń w uszy.

Stone krople wpadały Udo do oczu, ale mimo to próbował ogarnąć wzrokiem nadbrzeże. Wydawało mu się, że widzi znajomą sylwetkę, szybko oddalającą się w stronę przystani statków wycieczkowych.

– Greta!!!

Stanął nad trapem prowadzącym na ląd. Była to deska szerokości pół metra z przybitymi poprzecznie listwami, bez poręczy, uginająca się w ironicznym uśmiechu od brzegu do burty już pod ciężarem jednego człowieka. Rzeka, do której nikt nie wchodził taki sam dwa razy, płynęła cierpliwie, z góry przygotowana na jedno lub dwa ciała. Już byli za nim.

– Mogę ci jakoś pomóc, Udo? – Thomas dusił się własnym chichotem.

– Jesteś bardzo szlachetny, Udo – wtórował mu Georg – powinniśmy ci pomóc.

Udo z całej siły ścisnął nazistę w pasie, starając się nie spaść do wody.

– Twój nowy przyjaciel – podjął Thomas.

– Och nie – przerwał mu natychmiast Georg, ocierając łzy wesołości – myślisz, że możemy tu powiedzieć?

– Myślę, że – Thomas znów parsknął śmiechem – myślę, że musimy mu powiedzieć – zakończył z naciskiem.

– Twój nowy przyjaciel miał na nią ochotę – odezwał się zza Thomasa Georg – weszliśmy w ostatniej chwili.

– Wykazał hart woli będący ozdobą rasy panów – dodał Thomas – próbował rozpiąć rozporek, nawet kiedy go z niej ściągaliśmy.

– Prawdziwy zuch, ale postanowiliśmy bronić honoru damy.

Udo spostrzegł, że w Sprewie pływa mnóstwo czarnych rybek, których nie widział poprzednio.

– Twojej damy.

Wyczerpany organizm Udo potrzebował więcej tlenu, niż dawało berlińskie powietrze.

– Jak widzisz, Udo, nie jesteś jedynym błędnym rycerzem na tych zasranych barkach.

– Tak, a my, błędni rycerze, powinniśmy sobie pomagać, więc pozwól, że...

– Kurwa! – wrzasnął Georg i rzucił się w stronę Uda i nazisty, którzy bez ostrzeżenia stracili równowagę, lecąc za burtę. Ułamek sekundy później przyłoczył się Thomas, dzięki czemu jakimś cudem wszyscy zostali na pokładzie.

Nazista i Udo leżeli spleceni jak pijana para w nieprzytomnym uścisku. Udo, dysząc, rozpaczliwie szukał wzrokiem Greta. Patrzył na most, nic nie widząc przez pot i mroczki latające przed oczami. Jezdnia oparta na przęsłach chwiała się, jakby trwało trzęsienie ziemi. Kołysały się ściany starych fabryk i rdzewiejące barki. Udo popatrzył bliżej, serce ani oddech nie chciały zwolnić, przeciwnie – ich rytm przechodził w spazm i szaleństwo. Błądził oczami po przekłętej plaży, stolikach i leżakach zrobionych z europalet.

– Greta... – szepnął, a może pomyślał. Opuścił wzrok.

I wtedy zobaczył ją, była całkiem blisko. Stała przed jego plecakiem nieruchomo jak posąg, patrząc na pyszny bukiet siedmiu wielkich czerwonych róż, przybranych i ozdobionych na wszelkie możliwe sposoby i dodatkowo troskliwie owiniętych w kokon z celofanu przez florystkę z całodobowej kwaciarni.

Obok kręciła się Kutia, wymachując ogonem tak, że ledwo mogła ustać na nogach.